Nr 13. Kraków, 1 Kwietnia 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya i Redakcya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Tych odbiorców, którzy uiścili przedpłatę tylko za I kwartał, prosimy o nadesłanie **75** ct. za kwartał II, w przeciwnym razie wstrzymamy przesyłkę.

ZMARTWYCHWSTANIE.

Spełniwszy miarę zbrodni niedo-
[wiarków tłuszcza,
Zawiesiwszy na krzyżu Zbawi-
[ciela Ciało,
Jeszcze w swej zawziętości z oczu
[Go nie spuszcza,
I mówi do Piłata: „Ten powie-
[dział śmiało,
Że gdy Go zabijemy, w trzy dni
[zmartwychstanie:
Postaw straże przy grobie, miło-
[ściwy Panie!
By Go snać nie wykradli Jego
[uczniowie w nocy,
I nie rzekli, że powstał z mar-
[twych o Swej mocy“,

Złości katów zaślepiona!
Zaciętością upojona,
Chceszże z Bogiem toczyć wojnę?
Tyleś dobrodziejstw doznała,
Tyle łask żeś odebrała,
Co na ciebie zlewał hojne.
Płacisz mu za to niewiarą,
I starasz się wszelką miarą
Sprzeciwiać Mu się do końca?
Wszak ziemia, niebo przeminie,
Słowo Boże nie zaginie,
Póki świat i światło słońca!



Padły w znak straże, strachem
[przerażone.
Kamień grobowy zsunął się na
[stronę,
Stają Niewiasty przy nim zatrwo-
[żone.

Nie smućcie się, Anioł rzecze —
Mylne są sądy człowiecze,
Jezusa bowiem szukacie.
Już zmartwychwstał, jak powie-
[dział,
Już nie będzie w grobie leżał,
Toć znak oczywisty macie.
Ziemia i niebo przeminie,
Słowo Boże nie zaginie;
A więc wychwalajcie Pana:
Że zwyciężył śmierć i piekło,
I żydowską złość zaciekłą.
Alleluja! i Hosanna!

Po zgonie wiernych synów w trzy
[części rozdarta,
Legła biedna Ojczyzna jak umarła
[w grobie.
Podniosła głos swój Moskwa jak
[hydra zażarta:
„Już po niej!“ — zaryczała —
[lecz nie wierzy sobie:

Rzekł i stało się! — Oto trzeciej nocy,
Powstaje z martwych Pan o Swojej mocy,
Z tryumfem zwycięztw, uwielbiony cały.
Zadrżała ziemia i skały zadrżały;
Anioł zastąpił miejsce opuszczone,

Wszak te Lachy to naród papiezki zacięty,
Nie chce porzucić mowy, ni wiary swej świętej...
Lecz poczekajcie, Lachy, Moskwa wam pokaże!..
Obstawić całą Polskę przez żołdackie straże.

Wzbronić polskiego ubrania,
Księżom polskiego kazania,
Znieść pielgrzymki i odpusty;
Lachów gnać nad Czarne Morze,
Niech nie widzą swojej zorze...
Wszak to projekt nie jest pusty.
Kto wbrew carskiej woli działa,
Czyja głowa taka śmiała,
Odłączyć go od rodziny!
Zabronić im polskiej mowy,
Niech mówią ruskiemi słowy,
Niech zaginą Lasze syny!

Zapełnili step śnieżny dzikiego Sybiru,
Odjęli wolność, ludzkiego pozbawili miru,
I wiarę usiłują zgubić drogą naszą:
Więżą, mordują, gonią w Sybir — innych straszą,
Albo podłym sposobem podniecają zwady,
By tylko zatrzeć Polski chrześcijańskiej ślady.
Lecz daremnie cierpienia płyną całym wiekiem,
Bo Polak, co mu trzeba, wyssał z matki mlekiem.

I nadejdzie, wierzymy, czas,
Że Bóg wybawi nas
I jakby z śmierci uśpienia,
Głos Wskrzesiciela-Anioła,
Z rozkazu Jego zawoła:
„Wstańcie, czas waszego odetchnienia!
Ziemia i niebo przeminie,
Słowo Boże nie zaginie:
Przez wiarę Polska zbawiona!“

Więc Alleluja! Hosanna!
Zaśpiewajmy, wielbiąc Pana
Z głębi serdecznego łona!

Ferdynand Kuraś,
włościanin z Wielowsi pod Dzikowem.

Dzieje narodu polskiego.

Mieczysław I.

(Ciąg dalszy).

Dąbrówka przybywa do Gniezna. — Chrzest Mieczysława. — Chrzest narodu polskiego. — Pierwsze kościoły polskie, pierwsza dyecezya polska i pierwszy Biskup polski. — Syn Bolesław. — Zwycięztwa nad Niemcami.

Belesław czeski zgodził się na zaślubiny swej córki z Mieczysławem. Przybyła też wkrótce Dąbrówka w towarzystwie wielu panów i księży czeskich do Gniezna, gdzie oczekiwał jej Mieczysław ze swymi dworzanami i wielkiem mnóstwem narodu, bo każdy chciał widzieć przyszłą panią i królową.

W zamku, bo kościoła jeszcze nie było, ochrzcił się Mieczysław z siostrą swoją Adelajdą, *piękną księżniczką,* jak ją współcześni nazywali, z drugim bratem *Cydeborem* i z wieloma swoimi dworzanami. Po chrzcie odbył się zaraz ślub i wesele wspaniałe, poczem Czesi, ugoszczeni i hojnie obdarowani, odjechali do domu z wielkiemi pochwałami dla Mieczysława i jego ludu,

Wojtek Jarmarczarz.

(Dokończenie).

— Moja Jaguś — powiada — różnie się człowiekowi żyjącemu na świecie trafia — koń ma cztery nogi, a czasem się potknie. Od roku przecie nic mi się takiego nie stało.... A siano, moje dziecko, jakby było suche, to zgrabisz i zgarniesz na kupkę, a ja jutro zwiozę pod szopę.

Tak mówił, a myślał sobie: wrócę przed wieczorem, siano zwiozę: to ci Jagnie sprawię bal!

Chciał jej ten bal sprawić, bo był kontent, że go dziś tak gładko na jarmark puszcza.

Do Majdanu przyjechał szczęśliwie. Postawił konie, jak zwyczajnie, koło chałupy Mortkowego zięcia i zaraz poszedł do *faryniarek,* żeby sadła kupić, Jagnie bal sprawić. Zapomniał chudak, że żołnierze strzelają, a Pan Bóg kule nosi.

Z faryniarką długo Wojtek nie mógł przyjść do końca: jedno sadło było mu za małe, drugie za wielkie, to za stare, tamto za młode; a kiedy jedno upatrzył, faryniarka chciała za wiele, on znowu dawał za mało.

— A to sobie sami zjedzcie! — rzekł wreszcie Wojtek i uderzył w bok, niby odejść.

Nagle — tak przeraźliwie wrzasnął ktoś koło niego, że Wojtek stracił przytomność, a potem czuł tylko trzask po swojej głowie. Kiedy oczy otworzył, spostrzegł, że to pani sędzina tak wrzeszczy, a nie kto inny, tylko policyant tak go okłada, szarpie, ciągnie za sobą, a publikuje strasznie:

— A drabie! a gamoniu! a chamski łbie! Czy ty gamoniu — woła — z tyłu masz oczy? Patrzże, gamoniu, coś zrobił!

Wojtek popatrzył machinalnie i teraz dopiero spostrzegł, że wlazł pani sędzinie na powłóczystą suknię; ale i teraz jeszcze do zupełnej przytomności przyjść nie mógł, bo i czasu nie było: pani sędzina ciągle wrzeszczała, a policyant bezustanku go szarpał, przed sobą popychał i krzyczał: „Pakuj, gamoniu, do sądu, tam cię nauczą chodzić!“ Przed sądem dopiero przyszedł Wojtek cokolwiek do siebie i wtedy dopiero, jak błyskawica, przeleciała mu myśl przez głowę: Co to bę-

który, choć pogański jeszcze, tak mile wszędzie witał i przyjmował Dąbrówkę.

Na wieść o chrzcie monarchy wielki musiał powstać rozruch między narodem. Łatwo się domyśleć, co mówiono i myślano.

Wszyscy dopytywali się zapewne, jaka ta nowa wiara. Ci, co w rozpuście żyli, co drugich krzywdzili, ci niezawodnie nawet słyszeć o nowej wierze nie chcieli, skoro się dowiedzieli, że nowa wiara każe rozpustę porzucić, a bliźniego swego kochać, jak siebie samego. Byli bez wątpienia i tacy, co pogańskich bogów z drzewa i kamienia mieli za prawdziwych i bali się bardzo, żeby nie zesłali albo posuchy, albo moru, albo głodu, albo czego jeszcze gorszego, jeżeli ich odstąpią. Wrzało zapewne i kotłowało w całej Polsce.

A tymczasem Mieczysław i Dąbrówka zabierali się w imię Boże do pracy apostolskiej, do nawrócenia narodu.

Dąbrówka szczególniej myślała o tem dniem i nocą, bo dobrze wiedziała, że ją przedewszystkiem, jako już oświeconą w Wierze świętej, powołał Bóg do tego, żeby Polska została katolicką. Musiała zacząć od męża i zapalić go do świętej Wiary, bo wiedziała, że bez tego sama nie będzie mogła spełnić swego posłannictwa. Musiała męża w Wierze św. oświecić, przyzwyczaić do postów i modlitw, do słuchania Mszy św. i przyjmowania św. Sakramentów, do miłości bliźniego, do bogobojności i sprawiedliwości.

Bóg jej widać dopomagał, bo Mieczysław szczerze brał sobie do serca jej nauki i przestrogi i coraz więcej miłował Ukrzyżowanego Chrystusa. Żony pogańskie od siebie oddalił i z wielkim zapałem około nawrócenia swego narodu pracował.

Sprowadzili mnóstwo księży i jeździli z nimi po kraju, pouczali i chrzcili lud; kazali rozbijać lub topić w rzekach bożki pogańskie.

Równocześnie budowali kościoły; zakupywali dla nich ołtarze, monstrancye, obrazy, ornaty, krzyże, dzwony; oddawali na utrzymanie kapłanów pola, lasy, jeziora i co tylko mogli.

Pierwszy kościół stanął w Gnieźnie, na górze *Lechowej*, nazwanej tak dlatego, że tu miał być pochowany *Lech*, praojciec i najdawniejszy monarcha narodu naszego; drugi w Poznaniu, a trzeci w mieście *Kruszwicy*, nad jeziorem *Gopłem*, gdzie miał być dom *Piasta*, prapradziadka Mieczysławowego. Nie raz potem przebudowywane i rozszerzane te kościoły, pozostały jednak podziśdzień na tem samem miejscu.

Pierwszą dyecezyą polską była poznańska, bo w Poznaniu mieszkał pierwszy Biskup polski, imieniem *Jordan*.

Tak powoli rosła odtąd w Polsce chwała Boża, rozpoczęta chrztem Mieczysława roku Pańskiego 966.

Jest to rok, kiedy po raz pierwszy weszło nad Polską słońce światła i ciepła, słońce prawdy i zmartwychwstania.

Stare powieści naszego narodu rozpowiadają o tym Mieczysławie, że się ślepym urodził i że dopiero w siódmym roku życia cudownym sposobem przejrzał. Jeżeli to prawda (a prawdą może być, bo cóż u Boga niepo-

---

dzie z końmi, jak go do dziury wpakują? Ale, jak przedtem, tak i teraz, słowa nie wyrzekł, pary prawie z siebie nie puścił, tylko szedł, popychany przez policyanta.

Do kancelaryi sędziego wpadła najpierw z krzykiem i płaczem pani sędzina, za nią wlazł Wojtek, jak na ścięcie, po Wojtku policyant. Pani sędzina tak prędko trzepała językiem, tak strasznie malowała swoją krzywdę, że Wojtkowi aż się niedobrze robiło: wargi mu się trzęsły, jak w zimnicy, słowa wymówić nie mógł. Patrzył tylko na sędziego najpierw obłąkanym wzrokiem, potem coraz bardziej litościwym, nareszcie łzy mu w oczach stanęły, bo sędzia ani się skrzywił na niego, tylko wciąż żonę uspokajał, a nareszcie powiedział:

— Ależ, moje dziecko! co on temu winien, przypadek i nic więcej!

— Przypadek, przypadek — trzepała bezustanku pani sędzina — a moja suknia, moja nowiusieteneczka suknia! to nic? to nic?

— Wypierze się — powiada sędzia — i będzie dobra.

— Wypierze się! wypierze się! — wołała z gniewem i płaczem pani sędzina — ty myślisz, że tylko powalana?! Ten gamoń przecież, jak koń podkuty! Widzisz dziury? Ty nigdy serca dla mnie nie miałeś i nie masz!...

I wybiegła z kancelaryi, jak oparzona. Sędzia wstał, drzwi otworzył, wziął Wojtka za kołnierz i wyrzucił na korytarz, potem wyprawił taksamo policyanta.

— A co? — powtarzał sobie Wojtek — wracając uspokojony do fury — ja to zawsze mówiłem, że baby gorsze od chłopów. Ta sędzina, to jakby moja Jagna! A niechże ją kule biją! Jeszcze gorsza! A co za człowiek ten sędzia! Jaki to ludzki pan!

Konie zastał Wojtek, jak je zostawił pod Mortkowego zięcia chałupą: pozakładały łby na siebie i oganiały się robactwu łbami, nogami i ogonami. Skoczył zaraz do faryniarki, targu dobił, sadło wziął, przyniósł do koni, wsadził do worka i położył na wozie. O zwiezieniu siana nie mógł już myśleć, bo słońce miało się już ku zachodowi, a do domu opętane dwie mile. Chciał przynajmniej na czas wrócić i dlatego się spieszył. Choć mu się jeść i pić chciało, nie zatrzymywał się w mieście. Wziął sobie u Mortkowego zięcia trochę wódki do

bnego do zdziałania), to przejrzał on wtedy oczyma swego ciała; teraz zaś, po przyjęciu Wiary św. przejrzał i oczyma swojej duszy, a przez niego cały nasz naród. Błogosławieni zaprawdę monarchowie, którzy światło Boże narodom swoim przynoszą, a szczęśliwe narody, które monarchów swoich słuchają i światło to przyjmują!

W chwale Bożej znalazł wnet Mieczysław i szczęście własne i szczęście narodu swego.

Z siedmiu żon pogańskich nie miał potomstwa; teraz dał mu Bóg z Dąbrówki syna, który na chrzcie św. otrzymał imię *Bolesława*, zapewne po dziadku Czechu. Cieszył się tem ogromnie monarcha, zwłaszcza, że chłopczyk chował się zdrowo. Niezadługo potem dał Bóg i tryumfować nad tym nieprzyjacielem, którego w ciemnocie pogańskiej tak trudno było pokonać.

Widząc Mieczysława zajętego mocno krzewieniem Wiary św. i porządkowaniem państwa, myśleli Niemcy, że znowu nawinęła się im dobra sposobność do upokorzenia naszego monarchy. Wyruszył w pole z ogromnem wojskiem ten sam wódz niemiecki *Wichman*, który przed laty tak wielką zadał Polakom klęskę. Nie jemu wszakże, ale naszemu monarsze dał teraz Bóg zwycięztwo. Wojska niemieckie zostały w puch rozbite, a Wichman ciężko ranny i do niewoli wzięty, umarł w oczach Mieczysławowych. Było to w rok po chrzcie Polski.

W sześć lat później spróbowali Niemcy jeszcze raz szczęścia. Wyruszył teraz przeciw Polsce margrabia *Hodo*, butny Niemiec, wobec którego dawniej — jak głoszą stare pisma niemieckie — monarcha nasz „nie śmiał pokazać się w futrze, ani też siedzieć, gdy on stał“. Przeciw niemu wysłał Mieczysław brata Cydebora i znowu spotkała Niemców sroga klęska.

Takie Bóg zgotował szczęście Mieczysławowi za zasługi około Wiary św. Przyszły potem i różne doświadczenia przykre, ale nie brakowało już i światła Bożego, które go nauczyło i w nieszczęściach zachować spokój i przygotować z nich na przyszłość wielkie tryumfy. *(C. d. n.)*

O polskich Zgromadzeniach Zakonnych.

Felicyanki w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

Ten dom musiał być naturalnie obszerny, ale pozbawiony wszelkich ozdób i wspaniałości, albowiem mieszkańcami jego będą miłośnice największego ubóstwa. Do wybudowania tych domów potrzebnych funszów nie było; była tylko silna wiara w sercach, że Ten, który dotąd tak cudownie się opiekował biednemi służebnicami swojemi i nadal nie odmówi im Swojej opieki. I tak rzeczywiście się stało. Myśl wybudowania kościoła trafiła do serc pobożnych, wiele osób pospieszyło z datkiem, ale co niemałą będzie dla Czytelników *Krakusa* pociechą, to dowiedzieć się o tem, że to lud polski jest właściwym fundatorem tego Domu Bożego, który każdemu, który do Krakowa przyjeżdża,

---

flaszeczki, konie zładował i ruszył w drogę. Nawet za miastem nie brał się do jedzenia i picia.

— Tu dobra droga — myślał sobie — to trzeba popędzać; jak się dostanę pod las, na piaski — konie pójdą wołowego, a człowiek się pożywi.

Żeby do domu prędzej się dostać, puścił się Wojtek bocznemi, chłopskiemi drogami i za jakie dobre pół godziny był już tam, gdzie miał wołowego jechać. Zaraz też pociągnął z flaszeczki raz i drugi, dobył z za pazuchy chleba, ukroił sobie kawałek sadła, jechał wołowego i jadł. Po jedzeniu pociągnął jeszcze z flaszeczki, gębę rękawem utarł i jechał dalej wołowego, bo nie można było inaczej. Wnet przyszła mu na myśl zła sędzina, nie lepszy policyant, dobry sędzia — zamyślił się i zaczęło go coś, jakby na sen zbierać. Kiwnął się kilka razy, potem sobie lepiej usiadł — bat usunął mu się z ręki, potem lejce; głowa sparła się na półkoszku, coraz pewniejszy sen go ogarniał i zaczął wreszcie tak chrapać, jakby miał za to królestwa niebieskiego dostąpić. Żeby był miał te konie, kiedy to prosię do Rozwadowa wiózł i na zająca polował, byłyby się z pewnością zlękły i, Bóg wie, gdzie Wojtka poniosły. Ale tamte sprzedał, bo z nimi i na jarmarkach był wielki kłopot: nigdzie ustać nie mogły; te zaś cierpliwe na stanie. Szły jakiś czas coraz wolniej, potem skręciły nad rów i zaczęły gryść trawę, pociągając od czasu do czasu wóz za sobą. Już szarzeć się zaczęło, a Wojtek ciągle chrapał.

Nadszedł wreszcie od miasta jakiś obdartuśnik. Już miał wóz minąć — nagle stanął — obejrzał się dokoła i na palcach, cichuteńko zbliżył się do fury. Przypatrzył się dobrze Wojtkowi, uśmiechnął się i, jak jaki rewizor, wziął się do przeszukania wozu. Znalazł worek, pomacał, wyjął sadło, wsadził do swojej torby, worek cisnął na ziemię, oglądnął się dokoła, jeszcze raz na Wojtka popatrzył, jeszcze raz się uśmiechnął, potem buchnął w las i przepadł.

Wojtek wciąż chrapał, a konie gryzły dalej trawę. Byłby może tak przenocował, ale nadbiegł Mendel z Osiny. Żydzisko pędził, że mu się aż pejsy trzęsły, bo już dobrze się zmroczyło, a w lesie o przypadek jaki nie trudno. Ogromnie się też ucieszył, gdy Wojtka spotkał; zaraz go obudził, bo był pewny, że go na furę weźmie.

duszę przejmuje radością, bo i taki jest piękny, i Pan Jezus w Przenajświętszym Sakramencie od świtu do wieczora w nim wystawiony w monstrancyi. Bóg to zapisał, a z tej księgi Bożej pamięci nie wymaże już nikt po wieczne czasy, z jaką żarliwością, wiarą żywą i miłością Pana Jezusa, ludzie prości, a sami bardzo ubodzy, cisnęli się do Felicyanek, wysłanych na kwestę, by ostatni grosz oddać w ofierze na chwałę Zbawicielowi i Przenajświętszej Matce Jego. I tak w czasie odpustu we wsi Wierzchosławicach, pod Tarnowem, zeszło się na nabożeństwo mnóstwo wielkie ludu, ze stron nawet bardzo dalekich. Gdy Siostry zasiadły do kwesty, to ludziska poczciwi tak się z ofiarami cisnęli, że aż trzeba było ich powstrzymywać. A biedna jedna kobiecina, która aż o dwadzieścia mil przyszła na ten odpust, wysypała wszystko, co miała w węzełku od chustki, 20 ct. tylko zostawiając sobie na daleką drogę do domu. Siostry Felicyanki chciały koniecznie, by sobie zostawiła więcej, ale ona odrzekła stanowczo: ja potrzebuję tylko odpuszczenia grzechów i łaski Bożej, a dla nędznego ciała wystarczy kawałeczek chleba. To rzekłszy, oddaliła się szybko. — W Tuchowie góral jeden młody, widząc Felicyanki kwestujące przy stole, spytał się, na coby zbierały? A gdy się dowiedział, że chcą wybudować kościół ku czci Najśw. Sakramentu i Matki Bożej, rzucił na tacę 5 zlr. Odchodzącego zatrzymuje Siostra, by dał zapisać swoje nazwisko; on odrzekł: nie, nie potrzeba, Bóg wszystko wie. Ileż to razy, a ze łzami rozczulenia i zbudowania opowiadają to zakonne kwestarki, jak lud wiejski znosił hojną jałmużnę na podziękowanie Bogu, że go licznemi utrapieniami i krzyżami nawiedza i smaga w Swej łasce, dodając: widać, że Ojciec Niebieski chce mię oszczędzić po śmierci, kiedy nie oszczędza na ziemi. W miasteczku Kańczudze jeden biedny szewc, gdy się dowiedział, że Felicyanki przyjechały po kweście na kościół, co tylko miał centów w domu, duchem pozbierał, a biegnąc do Siostr zawołał z radością opromienionem obliczem: Czegóżbym ja nie dał dla Pani mojej i Królowej nieba. W Sączu lud biedny złożył aż 200 zlr. Za odjeżdżającemi już Siostrami biegli chłopi i kobiety wiejskie, zatrzymując fury, składali grosz ostatni na ofiarę. Wymieniłem tu tylko cząstkę tych pięknych uczynków, świadczących wymownie przed Bogiem i ludźmi, ile chrześcijańskiej cnoty kryje się pod słomianą strzechą i jak pełne gorącej miłości serca biją pod siermięgą polskiego ludu naszego. Niech Bóg tym wszystkim zapłaci po królewsku, hojnością Swych łask i błogosławieństw, a ten ostatni grosz, oddany na wybudowanie Domu Pańskiego, niech się im zamieni w kosztowne kamienie w koronie nieśmiertelnej chwały.

Gdy rozpoczynano budowę kościoła, matka przełożona przeznaczając jednę z zakonnych Siostr na ekonomkę, oddała jej skrzynkę małą, zamkniętą na kluczyk i rzekła: „Oto skarby nasze“. Otworzono skrzynkę i nie było w niej ani jednego cencika. Uśmiechnęła się Siostra ekonomka, odbierając z rąk przełożonej takie skarby, ale nie turbowała się tem bynajmniej, silna ufnością, że Opatrzność Boska napełniać będzie tę pustą skrzyneczkę. A nadzieja ta nie została zawiedziona

---

— To ja spał? — rzekł przebudzony Wojtek — a niechże cię kule biją!

— Aj! Wojtku — prawił Mendel — coby to z wami było, żeby nie ja! Niechby wilk wyszedł....

— Eee! wilk jak wilk, co tam wilk, ale niechby tak djabli — Boże odpuść grzechy — przynieśli złodzieja na konie! No, siadaj za to, Mendlu, na furę!

Żyd wygramolił się na wóz, Wojtek przyładował konie i już miał także siadać, ale wlazł na worek.

— A to co? — powiada — czy to Mendlu, nie twój worek?

— Coby mój tam robił? — odparł Mendel — ja mam swój na plecach.

Podnosi Wojtek z ziemi worek i poznaje, że to ten sam, w którym miał sadło. Nie chce oczom swoim wierzyć, przetrząsa całą furę — nie ma innego.

— Gdzież moje sadło? — woła nareszcie Wojtek po daremnem szukaniu.

— Jak to? Mieliście sadło?

— W tym worku, Mendlu, dziś kupiłem na jarmarku.

— Toście je, Wojtku, tyle widzieli! Musiał ktoś przedemną tędy iść. Jak to dobrze, że ja żyd; ta wasza Jagna pewnieby mnie posądziła. Ny! to przepadło! Jedźmy Wojtku, bo noc.

Jechali — Wojtek milczał, jak kamień. Na samą myśl, jak stanie przed Jagną, kotłowało i wrzało mu w głowie. Nie wiedział nawet, kiedy Mendel wysiadł w Osinie; nie wiedział także, jak do domu zajechał.

Z Jagną ciężka była przeprawa: już koguty na północek przepiały, a Wojtek oka nie zmrużył.

Nazajutrz w smutku wielkim ładuje Wojtek wóz po siano, a tu na jego podwórze wchodzi sekwestrator z wójtem i przysiężnym. Za dług u Icka zapisali konie i krowę. Przed pięciu laty trafiło się to samo z innym żydem. Wtedy Jagna pobiegła do dworu, pan się w to wdał, spłacili dług ratami. Dziś we dworze taki sam Icek, jak ten, co sekwestracyę sprowadził.... Wojtek stał, jak martwy, a Jagna płakała żywemu Bogu.

KONIEC.

ani na chwilę. Zdarzało się nieraz, że w sobotę na kilka godzin przed wypłatą pracujących koło świątyni ludzi, jeszcze kasa była pusciuteńka, a mimo to nie przytrafiło się ani razu, żeby pracujący nie otrzymali w swój czas należnej im zapłaty. Tak cudowną była opieka Boska nad Felicyankami, przystępującemi bez żadnych zasobów do budowy pięknej świątyni i obszernego klasztoru.

Gdy wszystko było już gotowe, a Sióstr do klasztoru zjechało się dużo, rozpoczęto zakladać w różnych miejscach ochronki i szkoły. Wszystkich razem mają Felicyanki 25 domów w Galicyi. Z tych największa liczba przypada na wschodnią część kraju, bo tam najwięcej było potrzeba zająć się gorliwie potrzebami ludu, już choćby z powodu bliskości rosyjskiej granicy i licznych agitatorów, bałamucących głowy przez obydne kłamstwa.

Moja podróż po Galicyi wschodniej.

IV.

Stanąłem tedy w Bolechowie. Miasteczko z jednej strony opiera się o góry, z drugiej ma szerokie równiny. Tutaj już wszystko droższe, aniżeli w Stryju. Kupcy jeżeli chcą o kilkadziesiąt centów sprzedać drożej zboże, to je niosą do Bolechowa. Górska ludność mało pól mając, musi płacić drożej.

Tutaj dla nas kolonistów mazurskich nie ma interesu, bo wszystko droższe. Ziemia droga i utrzymanie drogie. Zarobki tylko lepsze.

Z Bolechowa puściłem się przez Dolinę i Kałusz do Stanisławowa. Wszystkie te okolice jeden mają charakter — lasu dużo, za dużo, pola średniej jakości. Tanie są, bo nie ma rąk do roboty. Robotnik w lesie dużo zarabia, więc gospodarki jąć mu się nie chce. A nadto z lasu codzień wyniesie „patyka“ na opał tak, że cały rok Boży nikt tu drzewa nie kupuje. Na tym pasie ze Stryja do Stanisławowa dużo się trafia do kupienia małych gospodarstw, więc Mazury mogą tu ciągnąć procesyami. Zawodu nie doznają. Jak nie kupisz w jednej wsi, idź do wsi drugiej, do trzeciej, a dopytasz się, lub odnajdziesz kawałek roli do swego upodobania. Najlepiej wyjdzie tu człek silny do siekiery, i taki co ma liczną dziatwę, bo ją pośle na zarobki. Cała przestrzeń między Stryjem a Stanisławowem wynosi zaledwo mil 10, na tym pasie niewiele więc stracisz czasu za poszukiwaniami. Zamiast męczyć się po Ameryce za poszukiwaniami, wśród nieznanych ludzi, obcych wiarą, obcych językiem, lepiej iść między swoich, gdzie chleba więcej. Każdy ksiądz, każdy nauczyciel poradzi coś i dopomoże. Żyda tylko się waruj, bo oni skupują tu pola od chłopów, więc niechętnie patrzą na Mazurów, gdy ci chcą ich podkupić. Chyba, że biedny jest żydek, wtedy za faktorne da ci potrzebne objaśnienie. Widziałem karczmarzy, którzy skupili pola od chłopów 10 do 40 morgów. Istne folwarki mają. Jeden miał nawet morgów 70. Rusini Polaków nie chcą na Rusi, ale żydom to pomagają, aby Ruś wykupili. Dziwni ludzie. Wolą mieć sąsiadem żyda, jak Polaka, lub szlachcica. Ale na ich nierozum zważać nam nie należy. My róbmy swoje, idźmy na Ruś, kupujmy pola i osiadajmy jeden około drugiego. Im nas więcej będzie w kupie, tem lepiej nam będzie, bo jeden pomoże drugiemu.

Rozglądnąłem się nieco w Stanisławowie i ruszyłem ztąd ku Tłumaczowi. Słyszałem, że jest tam fabryka cukru. Więc zebrała mnie wielka ciekawość, jak im się tu powodzi. Zawodu nie doznałem i nie żałuję, że się zapuściłem w te strony. Fabryka idzie dobrze, ludu moc pracuje. Najwięcej korzyści mają z niej gospodarze, którzy sadzą buraki cukrowe i odstawiają do cukrowni. Ziemia tu prześliczna, czarna, urodzajna, jak w ogrodzie. Jest tu dużo Polaków w mieście i kościół jest ładny. W okolicy są kolonie Mazurów. W Tarnawicy polnej cała wieś jest mazurską i ma swego księdza. Oj bogaci ci ludzie! W Holosku także dużo jest Mazurów. Ściągnęli oni do tej wsi, sławnej dlatego, że tu urodził się poeta Karpiński, który napisał śliczne pieśni i tłómaczył psalmy. „Kiedy ranne wstają zorze“ także on napisał. Przecież tę pieśń znamy wszyscy i wszyscy ją rano odmawiamy, a wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Miła to rzecz widzieć takie miejsca, sławne pamiątkami po wielkich ludziach.

W powiecie tłumackim ziemia jest bardzo dobra, ale za to droższa. Parcelują tu dwory często, więc łatwo ją nabyć. Za mórg ziemi bez budynków płaci się po 200 złr. Budynki tu dość drogo wypadną, bo lasów już mniej. Ale za to cieplejsza tu okolica i rodzi się kukurudza w polu. Sady się udają piękne i pasieki można mieć duże. Ktoby chciał zajechać w te strony, niech napisze do p. *K. Krasowskiego w Tyśmienicy.* On się zajmuje parcelacyami i da wszelkie objaśnienia Mazurom, którzy w te strony przybyć zamierzają.

Więc macie teraz porównanie. Okolice Stryja są tańsze, okolice Stanisławowa są droższe. Około Stryja więcej lasów, ale ziemia gorsza — około Stanisławowa ziemia lepsza, ale znów mniej lasów. Tu i tam są zarobki dzienne dobre. Gdzie komu do gustu lepiej przypada, tam niech jedzie. *Jan.*

Dziewczyna, żona, matka, gospodyni, babka.

1. Pytanie. Na czem się opiera cześć i szacunek dziewczyny?

Odpowiedź. Na bogobojności, posłuszeństwie

dla starszych, niewinności i wstydliwości, na czystości, na pracy i nauce.

2. P. Czy dziewczynie potrzeba także umieć czytać i pisać?

O. Każda dziewczyna powinna umieć czytać i pisać, bo rozumną i piśmienną dziewczynę lubią i szanują wszyscy ludzie, a z rozumnej i oświeconej dziewczyny będzie także mądra żona i dobra matka.

3. P. Jak powinna sprawować się każda dziewczyna?

O. Tak, żeby nikt w całym świecie nie mógł na nią ani jednego złego słowa powiedzieć. Dziewczyna każda powinna być przedewszystkiem pobożną i religijną, na niej ma być zawsze czyste i piękne odzienie, a w domu ma utrzymywać porządek i czystość, starać się o upiększenie domu, hodować kwiaty, pomagać matce w każdej domowej robocie, a lenistwa, karczmy i złych towarzystw wystrzegać się jak ognia.

4. P. A na czem się opiera cześć i szacunek żony?

O. Cześć i szacunek żony zależy od cichego i miłego pożycia z mężem, od dobrych, posłusznych dzieci. Sława jej dobra zależy także od staranności koło chleba, jadła, bielizny, odzienia, od porządku koło domu i komory i ogrodu i stajni i chlewka, od troskliwości koło nabiału i drobiu i koło wszystkiego tego, co służy do domowej wygody i czystości i domowego piękna.

5. P. Jakie są główne obowiązki żony i gospodyni?

O. Pamiętać zawsze o potrzebach męża, dzieci, rodziców i czeladzi, zastępować w domu męża we wszystkiem podczas jego niebytności, pilnować i strzedz swego majątku i porządku i czystości i chwały Bożej i dobrych obyczajów w domu i wszędzie.

6. P. Czy może dobrze powodzić się gospodarzowi bez dobrej żony?

O. Nie — nie może mu się dobrze powodzić? Napróżno gospodarz od świtu do nocy ze sługami pracuje, jeżeli nie ma dobrej gospodyni. Ale gdzie rozumna gospodyni, tam wszystko pomnaża się i rośnie. Dobra i cnotliwa gospodyni i dobra matka to największe szczęście dla męża.

7. P. O czem gospodyni każda powinna zawsze dobrze pamiętać?

O. O tem, że na jej głowie całe gospodarstwo polega. Nie może ona nigdy rąk od pracy opuszczać, ale zawsze i wszędzie pracować i okiem doglądać, pamiętać i o wielkiem i najmniejszem, a nigdy nie myśleć o rzeczach czczych i pustych. Do gospodyni należy staranie o wszystkich i o wszystko. A więc i mąż i dzieci i rodzice i sługy i goście i komora i mąka i kasza i omasta i garnek i miska i żarna i dzieżka i niecki i beczka i konewka i ogród i kwiatki i miądlica i szczotka i wrzeciona i kądziel i motowidło i tkacz i blich i nożyce i igła i pierze i kijanka, a także i krowa i cielę i trzoda i gęś i kaczka i kura i pies i kot i wszystko, czego do gospodarstwa potrzeba.

8. P. Co powinno być i u najbiedniejszej gospodyni?

O. Wszędzie ma być wzorowa czystość i w domu i w podwórzu i koło siebie i koło dzieci, w bieliźnie i w ubraniu i w pościeli. Chata ma zawsze być czysto umieciona i wybielona, sprzęty czysto wymyte, w izbie czyste i zdrowe powietrze, a w siennikach świeża słoma.

9. P. Co powinno być w komorze u dobrej gospodyni?

O. Wszystkiego, czego do wyżycia i okrycia potrzeba, ma być poddostatkiem. Za wczasu ma być umielone i utłuczone i zakiszone i zawędzone nie wtedy, jak jest najpilniejsza robota.

10. P. Po czem poznać najlepiej dobrą gospodynię?

O. Po smacznym chlebie i dobrem maśle. Niejedna gospodyni ma z czego upiec, ale nie wie, jak; chleb u niej lepki, niesmaczny, zakalec do połowy, masło białe, zarobione, gorzkie, bo nie umie obchodzić się z nabiałem. Gospodyni, która nie umie upiec dobrego chleba i chodzić koło nabiału, nie powinna trzymać się swego starego, nierozumnego zwyczaju, ale powinna nauczyć się od drugich sławnych i mądrych gospodyń, a nauki się nie wstydzić, bo większy wstyd, że dar Boży się marnuje, a mąż po pracy nie ma smacznego kawałka chleba.

11. P. Co powinna mieć dobra gospodyni codziennie w pamięci, wstawszy rano i zmówiwszy pacierz?

O. Ma sobie dobrze czas na cały dzień rozłożyć. Każda robota ma mieć swą godzinę, aby jedna drugiej nie przeszkadzała; żeby mąż i dzieci nie potrzebowali czekać na jedzenie, żeby nikt w domu nie próżnował i żeby wszędzie był porządek i czystość.

12. P. Jak dobra gospodyni powinna krów doglądać?

O. Tak, aby były zawsze dobrze napasione, czysto utrzymane i zdrowe.

13. P. Czy krowy też trzeba zgrzebłem i szczotką czesać?

O. Tak jest — trzeba koniecznie, bo to przyczynia się bardzo do ich zdrowia, a jak krowa zdrowsza, to da więcej mleka i piękniejsze cielę urodzi.

14. P. Czy to prawda, że takie gospodynie, które mają krowy mleczne i piękne, znają się na czarach?

O. To nierozsądna bajka i nieprawda. Czystość i dobra pasza, przytem czysta, świeża woda, to najlepsze czary. *(C. d. n.)*

Drzewa owocowe.

Z każdym rokiem coraz mniej u nas drzew owocowych. Nasi ojcowie byli lepszymi od nas, bo sadzili i pielęgnowali drzewa, nie myśląc o tem, że może sami

plonu z nich zbierać nie będą. Słusznie mówili sobie: „To dzieciom pozostanie“. A my co? — Radzibyśmy, żeby było co zbierać, a przy obrywaniu owoców obchodzimy się z drzewami jak niedobra macocha z dziećmi; obłamujemy gałęzie, obijamy korę i t. d. Drzewa skutkiem tego chorują, próchnieją i w końcu giną.

Oprócz nas samych, pastuchy i źli ludzie w ogóle są u nas wielkimi nieprzyjaciółmi drzew. Wprawdzie niema u nas ustaw ochrony drzew, jak w Niemczech, lecz i bez tego drzewa pielęgnować można. Tyrol, księstwa austryackie, Czechy i Morawa także takich ustaw nie mają, a przecież tam właściciel bodaj małej chałupki, jeżeli tylko ma odpowiedni kawałeczek gruntu, stara się o drzewa owocowe. W Tyrolu są ogromne góry i nietylko włościanin ale i galicyjski ogrodnik uznałby, że w takiem miejscu prawie niepodobna drzew owocowych sadzić, a mimo tak niekorzystnego położenia włościanin tyrolski musi mieć sadek w swojem obejściu i ani nakład, ni żmudna praca od tego przedsiewzięcia go nie odstraszy. Będąc w 1891 r. w Czechach, widziałem w okolicy Neustupowa dozorcę dróg obrywającego ledwo co zawiązane owoce z drzew, wzdłuż gościńca rosnących. Na zapytanie otrzymałem odpowiedź, że to są dopiero cztoroletnie drzewa (licząc od czasu zasadzenia) i że przy tym plonie nie opłaci się trzymać wartnika; żeby zaś szkodnicy po owoce się nie wspinali i drzewom nie szkodzili, trzeba zawczasu wszystkie owoce strącić; gdy drzewa podrosną i zaczną tak rodzić, że po odtrąceniu kosztów pilnowania, obrywania i t d. zostanie jeszcze pewien zysk, natenczas wypuści się drzewa w dzierżawę. W ten sposób Czesi chronią drzewa od szkodników i mają słuszność. Jeżeli szkodnik na drzewie nic nie widzi, z pewnością wspinać się na nie nie będzie.

Wspomniałem o tym dróżniku, bo w innych krajach koronnych naszej Monarchii drogi krajowe są tam przeważnie drzewami owocowemi obsadzone, a drogi powiatowe i gminne także. Z tego powodu na dozorcę drogowego przyjmują tam tylko takich ludzi, którzy umieją się z drzewami obchodzić. Właściciele większych posiadłości mają każdy łan pola oddzielony drzewami owocowemi, nawet drogi żelazne od r. 1887 zaczynają tam drzewami obsadzać i jakie z tego korzyści były w r. 1801, wykazuje poniższe zestawienie ułożone przez c. k. ministerstwo handlu.

Linia kolejowa z Bozen do Meranu dała 12 złr. dochodu z jednego kilometra, północno-wschodnia z Jedlesec do Stokerau 21 złr., Czaslow-Kuttenberg 230 złr. z kilm. Koleje południowe w okolicach, gdzie się hoduje jedwabniki, są obsadzone morwami i przyniosły po 650 złr. czystego dochodu z przestrzeni jednego kilometra. Co zaś do gęstości sadzenia drzew przypada na jeden kilometer po sto i więcej drzew.

Miło też iść, czy jechać, zwłaszcza w czasie upałów taką obsadzoną drzewami drogą, a i w zimie podczas zadymki nie można drogi zmylić, jak się to u nas dość często trafia.

W naszej poczciwej Galicyi nietylko że przy drogach drzew nie sadzą, ale nawet koło domu porządne drzewo owocowe bywa rzadkością. Stare drzewa są tak zanieczyszczone, że choćby były najlepsze, — dobrych owoców wydać nie mogą. Zboża i inne rośliny staramy się w czystości utrzymać; plewimy, okopujemy, robaki zbieramy i t. p., na drzewa umiemy tylko rzucać kamienie i drągi, żeby owoce obtrącać. Nie jestże to barbarzyństwo? Kto chce, żeby drzewo dobre owoce rodziło, powinien mu poświęcić trochę pracy, a czasem i nakładu, nie oglądając się na przypomnienia wójtów i żandarmów, jak to się działo ubiegłego roku. Teraz n. p. kiedy jeszcze w polu nie ma tyle zajęcia i znaczną część dnia marnuje się na próżnowaniu, czyż aby Boga nie obrażać, a sobie dochodu przysporzyć, nie należy wziąść drabinki, piłki, noża, pójść do sadu, suche i gęsto rosnące gałęzie wyciąć, odrostki korzeniowe w samej ziemi zniszczyć, pijawki na pniu wyrastające pooddalać, starą korę, za którą jest mnóstwo robactwa oskrobać i wapnem pociągnąć, a co ważniejsza — powinno się gąsienice pozbierać.

Niejeden może nie wie, iż te suche liście, wiszące teraz na drzewie, mieszczą w sobie małe gąsieniczki, które z ciepłem odżyją i będą pączki i liście drzew obgryzały, podobnie jak się to w zeszłym roku działo.

Utyskujemy na brak ustaw ochraniających drzewa. Otóż ubiegłego roku był nakaz zbierania gąsienic i któż to wykonał? Ten, co i bez nakazu by to zrobił; żandarmi chodzili, przypominali, sami nie wiedząc, o co chodzi, bo gdyby wiedzieli, jak to wygląda gąsienica na drzewie, z pewnością nie uszły by ich uwagi bezlistne w lecie drzewa obok dróg krajowych rosnące.

Prócz tych gąsienic w listkach są jeszcze inne pierścienicami zwane. Te mieszczą się tylko na jednorocznych pędach. Są to właściwie tylko jajeczka, a te układają się około pręcika jak pierścionek, w którym po 300 przeszło jajeczek się znajduje. Tych pierścieni jest w tym roku w niektórych miejscach taka ilość, n. p. w okolicy Mielca, w Chmielowie, że chłopcy zbierając te pierścionki po 2 sztuki za centa, zarabiali po 30 i więcej centów dziennie.

Gąsienice to największa plaga drzew. Dołóżmy więc wszelkiego starania, aby je teraz, kiedy do tego najwłaściwszy czas zebrać, gdyż później, gdy się wylęgną, podzielą na małe kupki i po całem drzewie rozlezą, o wiele trudniejsze będzie tępienie. Zebrane liście z gąsienicami i pierścienice należy natychmiast spalić, aby się po ziemi nie porozsypywały, boby tam z wiosną odżyły i napowrót na drzewa poszły.

Froń.

Korespondencye „Krakusa“.

Z nad rzeki Wilgi.

Posyłam Wam gadkę niepodobną do wiary, a przecież od początku do końca prawdziwą:

Jest blisko mnie duża i ludna wieś, zaczynająca się na literę R., a dziedzicem tej wsi jest osiadły tu z ojców i dziadów pan, który chociaż nie bardzo rozmowny, bo takim go już Pan Bóg stworzył i chociaż nie obiecuje nikomu więcej, niż zrobić może, ale zato uczciwy i znany z tego, że nikogo ani na pół centa nigdy nie ukrzywdzi, o czem ludzie na całą okolicę doskonale wiedzą i szanują go, jak na to zasługuje.

Ten pan miał w środku wsi kawałeczek gruntu i na nim duży budynek drewniany, w którym dawniej była karczma. — W budynku tym umyślił pan założyć dla wsi ochronkę i sprowadzić do niej zakonnice; zawołał więc do siebie wójta i wytłómaczył mu, że kiedy dotąd niema we wsi szkoły, to dobrzeby było mieć chociaż ochronkę, gdzie małe dzieci nietylko, że uczyłyby się pacierza, czytać, pisać i rachować, ale jeszcze zakonnice przyuczałyby ich do porządku i ochędowstwa, czesały i myły, bo to wszystko na świecie bardzo potrzebne. Powiedział więc pan wójtowi, że przeznaczy dla ochronki budynek wraz z gruntem i jeszcze dodawać będzie z własnej kieszeni połowę wszystkich pieniędzy, jakieby ochronka rocznie kosztowała, jeżeli na drugą połowę kosztów złożą sie wszyscy gospodarze podług wybieranych podatków. Prosił pan jednak, aby wójt niedługo zwołał gromadę i odpowiedział mu, co o tem uradzą, żeby pan wiedział, na czem stoi, czy ma się o zakonnice starać i jak ma budynkiem rozporządzić.

Wójt, jak wójt przychwalił wszystko, obiecał odpowiedzieć i poszedł sobie do domu; dziedzic przez kilka miesięcy na darmo czekał od niego odpowiedzi. Dopiero raz spotyka wójta na drodze, więc pyta się go, czy gromada już się namyśliła, co robić i czy się na ochronkę zgadzają. Wójt zagadnięty tak, począł się drapać po głowie i odpowiedział nieśmiało, że on to wszystko gromadzie przedłożył, ale że jedni z gromady powiedzieli, że nie dadzą na to pieniędzy, a drudzy, że nie potrzebują, aby im baby dzieci uczyły.

Po takiej odpowiedzi pan się już więcej gromadzie z ochronką nie naprzykrzał, ale kiedy później zjechała z Rady szkolnej okręgowej komisya, która postanowiła założyć we wsi szkołę, dziedzic podał na piśmie, że ofiaruje bezpłatnie na szkołę ten budynek z gruntem, pod warunkiem jednak, aby już nie był pociągany do kosztów przerabiania budynku i w razie gdyby budynek kiedy na co innego a nie na szkołę miał być przeznaczony, ażeby znowu na własność dworu powrócił. I nie można się dziedzicowi dziwić, że sobie to zawarował, bo kiedy budynek przeznaczył na szkołę, to nie chciał, aby w nim kiedy zaprowadzono szynk albo jeszcze co gorszego. To też Rada szkolna uznała słuszność tego zastrzeżenia, a przekonawszy się, że budynek jest wcale na szkołę odpowiedni, doniosła o tej darowiznie krajowej Radzie szkolnej we Lwowie, a ta zaraz wypisała dziedzicowi podziękowanie za ten dar, bez którego szkoła nie mogłaby wnet być otwarta.

Także niektóre najbliższe wsie, kiedy się o tem dowiedziały, zaczęły prosić rząd, aby je do szkoły w tej wsi przyłączył, bo nie potrzebowałyby już osobnych szkół u siebie fundować, a i gminę R. taniejby wypadło, gdyby utrzymanie szkoły nie sama jedna musiała ponosić. Ale we wsi R. nie wszyscy tak samo myśleli, bo znaleźli się tu tacy mądrzy, którzy wołali, że dziedzic na to budynek daje, ażeby go po odnowieniu napowrót odebrać — a inni dowodzili, że przerabiać budynku na szkołę nie warto, boby to bardzo dużo kosztowało. Ponieważ zaś wszędzie dosyć jest ludzi, którzy wolą słuchać mylnego zdania, niż sami sobie umyśleć co jest dobre, a co złe, a przy tem, że im kto głosniej krzyczy, to go tem dalej słychać, więc na gromadzie stanęło, aby budynku tego na szkołę od dziedzica nie przyjmować.

Kiedy dziedzic dowiedział się o tem, napisał do Rady szkolnej, że jeżeli gminie krzywda się widzi, to on wcale z darowizną swoją nie myśli się nikomu narzucać i takową cofa — a że trafił mu się jeden gospodarz na dorobku, więc budynek mu razem z gruntem na wieczystość sprzedał, a chłop, który go kupił, nie potrzebując dla siebie tak dużego domu, zmniejszył go o jednę izbę i sam w nim mieszkał.

Czy myślicie, że na tem jest koniec? gdzież tam! Kto raz źle albo głupio zrobi, ten jeżeli się poczuje do winy, to może jeszcze winę naprawić, ale kiedy się ma za bardzo mądrego, to coraz większe robi głupstwa. Tak było i u nas, i kiedy Rada szkolna nastawała na otwarcie już raz szkoły, a tu budynku nie było, więc gromada, niewiele myśląc, najmuje od jednego chłopa chałupinę o dwóch izdebkach, do jednej tkają nauczyciela, a do drugiej szkołę, nie mając względu na to, że w niej najwięcej 20 dzieci, i to jak śledzi w beczce pomieścić się może. Za budynek obiecują płacić gospodarzowi po 45 złr. rocznie, a prócz tego dają swoim kosztem podłogi i piece, nie mówiąc już o ławkach, co ich znowu kilkadziesiąt reńskich kosztuje.

W takiej biedzie bieduje nauczyciel ze szkołą jeden rok, ale dłużej wycierpieć trudno, bo i na wszystkie dzieci placu niema, że tylko muszą się luzować, przez co i nauczyć ich tego co potrzeba — nierada. Więc dalejże ci sami mędrcy, którzy budynku od dziedzica za darmo przyjąć nie chcieli, nuże próbować go od nowego gospodarza i obiecują mu za niego 450 złr.,

ale ten uparł się, że go taniej jak za 500 złr. nie da. Bojąc się jednak na całą wieś tak wielkiego ciężaru nakładać, uradzono na końcu, aby budynku na szkołę nie kupować, ale go nająć rocznie znów za drogie pieniądze i to jeszcze nie cały, bo gospodarz wymówił sobie z niego część na własny użytek, gdzie też z żoną mieszka.

Tak więc w tym samym budynku, który wraz z gruntem mogła mieć gmina na własność, mieści się dziś szkoła komorą za duże pieniądze i to jeszcze w budynku zmniejszonym, niż był dawniej i nie w całym. Ale najgorzej będzie, kiedy przyjdzie stawiać osobny budynek szkolny i na to jakie kilka tysięcy wywalić!

Takie są dzieje tej wsi, której nazwiska nie wymieniam, bo jej nie chę robić wstydu; a zresztą sama w tym opisie, jak w lusterku się pozna, jeśli tam kto *Krakusa* czytać będzie.

Opisanie zaś to dlatego posyłam w świat, aby ludziom niektórym otworzyć oczy i przestrzedz ich, jak to źle bywa zanadto mądrować i we wszystkiem co pochodzi od dworu, podejrzywać samo złe, chociaż w tym dworze siedzi taki sam, jak my dobry katolik i taki sam, jak my dobry syn tej ziemi, — z tą tylko chyba różnicą, że mu się Bóg tak, jak jego ojcom, we dworze urodzić kazał.

Wychwalają ludzie rozum, który nazywają rozumem chłopskim, dlatego, że chociaż nieświadomy książek uczonych, ale wypróbowany w twardych życia doświadczeniach, umie doskonale odróżnić dobre od złego w trudnych nieraz przypadkach, właściwe znaleźć wyjście. Zarówno z innymi i ja szanuję bardzo ten rozum chłopski, wtedy jeżeli on opiera się nie na złej woli, nieufności i podejrzliwości, ale na bojaźni Bożej i miłości bliźniego, bo święta to prawda, że najwyższy rozum-cnota.

Taki rozum daj nam Boże,
Bo on cuda zdziałać może.

Wiadomości polityczne.

We *Francyi* proces kryminalny z *masonami* już się niby ukończył. Jednego skazał sąd za okradzenie biednych ludzi na pięć lat więzienia i zapłacenie około trzystu kilkudziesięciu tysięcy reńskich, na nasze pieniądze; innych dwóch na mniejsze siedzenie w areszcie i na niższą karę pieniężną, a sześciu uwolnił. *Republikański* rząd francuski, który w większości swojej także jest *masońskim*, próbował, jak się pokazało przy dochodzeniu, wplątać w tę sprawę jakiego dobrego *katolika*. To mu się nie udało, tak proces czemprędzej ukończył, żeby sprawy nie rozgrzebywać dalej, bo w tej sprawie mogłoby całe *masoństwo francuskie* utonąć, a błotem swoim obazgrać wrogów Kościoła i we Włoszech i w Rosyi. Czy naród *francuski*, o ile *masońskim* nie jest, poprzestanie na tem, to jeszcze nie wiadomo, bo niektóre gazety są niezadowolone z zakończenia procesu i wydobywają na wierzch coraz to nowe hultajtwa *masońskie*.

Pisał *Krakus* niedawno o tem, że Moskal nasypał dużo pieniędzy *masońskim* gazeciarzom we Włoszech, żeby go Ojcu św. dobrze przedstawiali, żeby przez to u Ojca św., choć heretyk, dobrze był widziany, a Wiarę naszą świętą mimo to gnębił. I kiedy ci gazeciarze to robią, on właśnie w tej chwili zniósł jednę parafię katolicką na Podolu w Czarnokozińcach, a parafian kazał rozdzielić między sąsiednie parafie. Kościół zabierze sobie dobry *hosudar* moskiewski, pewnie na jaki magazyn wojskowy, albo na kasarnie, a biedni bracia nasi włościanie i szlachta rozerwani, będą mieli teraz do kościołów swoich po kilka i kilkanaście mil. Moskale myślą, że tym sposobem naszym braciom odechce się tak daleko do katolickich kościołów chodzić, że przyzwyczają się powoli do heretyckich cerkwi moskiewskich i na schyzmę przejdą. Ale niedoczekanie jego! Pociechy on z tego mieć nie będzie, jak nie ma i z innego swojego drabstwa.

Pisał *Krakus* nieraz o tem, że schyzmatycka i heretycka moskiewska wiara wyszła z Konstantynopola, gdzie teraz Turek siedzi. Na ten Konstantynopol miała Moskwa oddawna chrapkę, bo żeby się tam usadowiła, toby wzięła pod swoje panowanie wielkie ziemie w tamtych stronach leżące, jak *Bułgaryę*, *Serbię* i inne. Te ziemie podobały się Moskwie już przez to, że ci Bułgarowie i Serbowie są schyzmatykami. Tak przed wieloma laty wydał Moskal Turkowi wojnę, a światu ogłosił, że on chce swoją wiarę z pod poganina Turka wydobyć, bo ci Bułgarowie i Serbowie pod tureckiem byli panowaniem. Kiedy niektórzy zaczęli przebąkiwać, że Moskalowi nie o wiarę idzie, choć to jego nie katolicka, ale o to, żeby Bułgarów i Serbów pod swoje wziąść panowanie, Moskal zaklinał się na wszystkie swoje świętości, że on ani Bułgarów ani Serbów zabierać pod swoje panowanie nie myśli, że pragnie tylko tych ludzi z pod jarzma tureckiego na wolność wydobyć, wiarę swoją od pogaństwa uwolnić.

Kiedy tak, powiadają inne mocarstwa, jak Austrya i Prusy, to niech idzie. Poszedł on Moskal na Turka i z wielką a wielką biedą tego Turka zbił, ale już ztamtąd cofnąć się nie chciał. Pokazało się, że mu o wiarę nie chodziło, ale o to, żeby Bułgarów i Serbów z pod tureckiej niewoli w swoją niewolę moskiewską wziąść i ziemie ich zagrabić. „Hola, bracie! zawołała wtedy Austrya i Prusy, tak być nie może. Uwolniłeś Bułgarów i Serbów od Turków, toś dobrze zrobił, koszta poniesione teraz ci Turcy zwrócą, ale Bułgarowie i Serbowie mu-

szą pozostać wolnymi tak, jak mówiłeś przed wojną, a nie tak, jak teraz chcesz". Na nową wojnę z Austryą a może i Prusami, Moskal odważyć się nie mógł, tak przyszło do układu między nim a innemi mocarstwami w Berlinie. Stanęło na tem, że Bułgarya i Serbia będą miały własnych książąt, że będą się rządziły same. Moskal jednak chciał koniecznie nie teraz, to później na swojem postawić, więc na to ustawicznie nastawał, żeby jego wojsko i jego jenerałowie, choć Bułgarya będzie miała własnego księcia i własny rząd, tam pozostali, bo Bułgarowie sami sobie rady nie dadzą, zwłaszcza, że Turek nadal ich będzie miał pod swojem zwierzchnictwem. Zwierzchnictwo to tylko pozorne, ale zawsze zwierzchnictwo. Mocarstwa rozumiały dobrze, co te wybiegi moskiewskie znaczą, ale zgodziły się na żądanie Moskwy, z tym jednak warunkiem, żeby Austrya wzięło Bośnię i Hercogowinę, bo jakby tam Moskal sam został z wojskiem pośród tych ludów, to niedługo zaprowadziłby tam swoją niewolę, gorszą jeszcze od tureckiej. Nie w smak było Moskalowi, że Austrya mu w drogę włazi, ale się na to zgodził.

Niedługo potem dostali ci Bułgarowie księcia Aleksandra Battenberga, lutra, a przez matkę z naszym narodem spokrewnionego. Moskale myśleli, że on im będzie lepiej życzył, aniżeli swemu narodowi, że tym sposobem wnet z Bułgaryi zrobią swoją gubernię.

Pomylili się okropnie, bo książę Aleksander oddał się całem sercem nie Moskalom, lecz swojemu narodowi. Moskale byli źli, czekali więc tylko sposobności, żeby się na księciu zemścić. Sposobność wnet się nadarzyła. Wypadło mianowicie Bułgaryi prowadzić wojnę z Serbią. Dobrzeby było, pomyśleli sobie Moskale, żeby Bułgarowie dostali po skórze: księcia wtedy znienawidzą i sami wypędzą, a nam właśnie tego potrzeba.

Trąbią tedy Moskale po gazetach, że nie zgadzają się na bratobójczą wojnę między Bułgarami i Serbami i odwołują swoje wojska z Bułgaryi i swoich oficerów. Palnęli straszne głupstwo, bo książę Aleksander bez nich się obszedł, Serbów zwyciężył i w oczach swego narodu ogromnie urósł. Moskale wściekali się ze złości, więc zaczęli tajemnie kopać dołki pod księciem. Przekupili kilku oficerów i jeden oddział wojska, i ci zdrajcy jednej nocy księcia swego z pałacu wzięli, z Bułgaryi wywieźli i w ręce moskiewskie oddali. Moskale wtedy udali, że oni niby nic przeciw księciu Aleksandrowi nie mają, ale kiedy sam naród go nie chce, to i oni go nie chcą. Kłamali bezczelnie, bo to tylko zdrajcy księcia Aleksandra nie chcieli. Naród na wieść o tem, co się stało, stanął pod bronią, i Moskalom poddawać się nie myślał, owszem oświadczył, że Moskali do siebie nie puści. Książę Aleksander do Bułgaryi wrócił, rząd tymczasowy z dobrych obywateli ustanowił, ale księciem bułgarskim już być nie chciał; udał się do rodziny swojej w Niemczech, potem do wojska austryackiego wstąpił i jest teraz jenerałem.

Biedni Bułgarowie zaczęli teraz szukać dla siebie księcia. Szukali długo, bo nikt godny nie chciał tam pójść; przewidywał każdy, że prędzej czy później Moskale go sprzątną, więc po co się narażać? Znalazł się przecież młody, odważny człowiek, książę Ferdynand Koburg, do Bułgaryi poszedł i księciem bułgarskim jest. Moskale urządzili już kilka zamachów skrytobójczych na jego życie, ale bez skutku. Ten nie tylko żyje, ale nawet umyślił się ożenić. Była z tem bieda, bo on katolik a według prawa bułgarskiego, tylko schyzmatyk powinienby być księciem. Naród bułgarski uwolnił księcia od kłopotu, bo dawną ustawę zniósł, a według nowej ustanowił, że książę i jego dzieci mogą pozostać przy swojej wierze katolickiej. Stało się to temi czasami. Moskal straszny gwałt z tego powodu robi i pewnie będzie dalej godził na życie księcia. Rozpacz może biednych Bułgarów doprowadzić jeszcze do tego, że sami na katolicyzm przejdą. Oby im Bóg do tego dopomógł!

NOWINY.

— **Do Rzymu** na jubileusz Ojca św. wyjechało już z naszego kraju wiele osób; przepędzą tam Wielki Tydzień i zatrzymają się aż nadjedzie reszta pielgrzymów polskich. Miło wspomnieć, że między temi osobami jest JE. hr. Kazimierz Badeni, zwierzchnik naszego kraju i jeden z najlepszych jego rządzców. Jeżeli się nie mylimy, to pojechał tam i brat p. Namiestnika hr. Stanisław Badeni, także bardzo mądry i dbały wielce o dobro naszego narodu pan. Jeżeli już nie wyjechał, to pewnie pojedzie August Gorayski, znany dobrze braciom włościanom z okolic Sanoka, Jasła i Gorlic, jeden z najlepszych obywateli w naszym kraju, głowa między szlachtą Bractwa pobożnego ku czci Najświętszej Panny. Wyjechał i jest już w Rzymie hr Stanisław Tarnowski, którego włościanie od Tarnobrzega i Sandomierza słusznie „profesorem nad profesorami" nazywają. On niedawno temu choć Polak miał w Wiedniu odczyt wśród cudzoziemców o zasługach Ojca św. Koło naszego narodu wielce to zasłużony człowiek, włościanom polskim całem sercem oddany, nikt też piękniej nie przedstawił ich, jak on w swojej książce: „Z doświadczeń i rozmyślań". Prócz tych podążyło bardzo wiele innych osób.

— **Odrzykoń**: Dnia 13 bm. powracał pewien włościanin z synem z Krosna, z jarmarku. Gdy przejeżdżali przez rzekę Wisłok, woda wóz wywróciła; syn się wyratował, ale ojciec utonął, nie można go nawet znaleść. Konie same wydostały się na brzeg.

— **Niebezpieczna pogoń**. Niedaleko Kelheimu w Bawaryi, tuż nad brzegiem zamarzłego Dunaju, żandarm złapał włóczęgę i zaczął go prowadzić do miasta. Tymczasem więzień, korzystając z chwilowej nieuwagi swego zbrojnego opiekuna, wyrwał się, skoczył na lód Dunaju i uciekał na drugi brzeg. Żandarm pogonił za nim. Lecz szczęście nie sprzyjało przedstawicielowi władzy; gdy łotrzyk szczęśliwie stanął na przeciwległym

brzegu, pod znacznie cięższym żandarmem lód się załamał. Skoro włóczęga spostrzegł, iż jego prześladowca tonie na dobre, żal ścisnął mu serce, ruszył tedy na pomoc, i po chwili znowu obadwaj znaleźli się na brzegu, wybawca w mocy uratowanego. Żandarm atoli z wdzięczności zaproponował, iż po odstawieniu włóczęgi do aresztu, złoży raport sędziemu o jego szlachetnym postępku, za co nie minie go urzędowa pochwała. Włóczęga, nie dowierzając władzy, poprosił natomiast, aby żandarm obdarzył go wolnością i dwiema markami, czemu też zadosyć się stało.

Ceny zboża

(z targu na Kleparzu).

Kraków 28 marca.

Płacono: za pszenicę białą od 8 złr. 20 ct. do 8 złr. 40 ct., za czerwoną od 8 złr. — ct. do 8 złr. 35 ct., za żółtą od 8 złr. — ct. do 8 złr. 30 ct., za żyto od 6 złr. 65 ct. do 6 złr. 90 ct., za jęczmień browarny od 5 złr. 75 ct. do 6 złr. 25 ct., za kaszę od 5 złr. 25 ct. do 5 złr. 40 ct., za owies od 6 złr. — ct. do 6 złr. 35 ct., za rzepak od 11 złr. 75 ct. do 12 złr. 50 ct., za koniczynę czerwoną od 56 złr. do 70 złr., za białą od 55 złr. do 70 złr. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
2	*Nied. Wielkan. Zmartw. Pań.* Franc.	5	13	6	13
3	Pon. *Wielkan.* Ryszarda b. w.	5	11	6	15
4	Wt. Izydora bisk. wyzn.	5	9	6	16
5	Śr. Wincentego Fer. i Zenona.	5	6	6	18
6	Cz. Celestyna papieża.	5	3	6	19
7	Piąt. Epifaniusza męcz.	5	1	6	20
8	Sob. Dyonizego bisk. wyzn.	4	59	6	22

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.